

Pierwszy raz w życiu

Wiersze
1945–1950

Zła gwiazda

Co brygantyny zbłąkane zwodzisz
w morskie bezdroża,
zwodnicza gwiazdo, fałszywa gwiazdo,
zła gwiazdo,
i kłamiesz błyskiem, nisko zwieszona
nad czarnym morzem,
za widnokregiem na błędnym kursie
ginącym masztom,

wstań mi nad domem! zakolysz dziko
lęk w duszy,
bo choć się lękam, tęsknię do ciebie,
zwodnicza gwiazdo,
i patrzę nocą zza szyb ukośnie
czarnym podwórzem,
czy nie stanęłaś powyżej domów
krwawa nad miastem?

Bo zdaje mi się, że jakieś w tobie
straszliwe piękno,
że gdy, upiorna, zwieścisz nieszczęście,
to szczęścia zgasną!
W szlaki zatraty, szlaki bez wyjścia
chciałbym się wprzęgnąć
i ruszyć ślepo, choć nie wiem po co,
na zgubę własną.

Moment rozumienia

Życie jest ciężkie i trudne,
a to się czuje chwilami,
gdy otrze twarz szorstkim płótnem
i zostaniemy w noc sami.

Takim posępnym i ciężkim
jak męskie oczy wieczorem
zgadnę: przez życie nam ścieżki
rąbać każą toporem.

Dni szarą masą się cisną
jak sięgniesz okiem, ramieniem,
nadpłyną, spłyną, zawisną,
oblepią cię znużeniem.

I długo jeszcze, daleko
masz rąbać przez nie korytarz.
Oddechy w dłoniach twych ciekną
i próżno je, gniewny, chwytasz.

Bo ruch jest ciężki jak troska
i smutne piękno czynu,
nawet widziane przez rozkaz,
przez długi cień karabinów,

których bezmyślna odwaga
najłatwiej, najprymitywniej
i najskuteczniej pomaga
w każdej trudności intymnej.

Skoczysz za pierwszym lepszym,
nie raczysz nic rozumieć,
płynąc w szumie powietrza
jak ryba w wody szumie.

Nie, tego mi nie wolno,
ja inaczej zwyciężę,
stąpając drogą mozolną
i walcząc tam, gdzie najciężej.

Nie można tylko się cieszyć,
nie można tylko płakać.
Musisz, skrawiony, śpieszyć
i ze wszystkim się zмагаć.

Dopóki jest jakaś droga,
będziesz zaciskał pięści
i naprzód parł, jak na wroga,
albo jakby po szczęście.

I zmudnie jeszcze, i długo
iść musisz, posępny brat,
nim noc rozbłyśnie sekundą
piękną, jak nagły kwiat.

Napis na grobowcu

Nie mogąc zmienić już wyrazu twarzy,
kamienny, niegdyś pierwszy wśród mocarzy,
stoi Kurusz, król Achemenida.

Niezdolny nawet zmrużyć oczu ślepych,
bezzadny, chroni się pod słów tych przepych:
Jam jest Kurusz, król Achemenida.

Patrzy na gwiazdę, co się wciąż nie zmienia,
i sili się, by skrzydła wznieść z kamienia
żywe, Kurusz, król Achemenida.

Twarz, skrzydła, napis, który tam wykuto,
i to rzemieślnik wyrznął, wzięwszy dłuto,
a nie Kurusz, król Achemenida.

Lecz nawet z taką twarzą skamieniałą
on chciałby trwać, jak wszystko co istniało,
martwy Kurusz, król Achemenida.

I nadchodzących epok czując szumy
ocalić chce choć cząstkę z dawnej dumy,
imię: Kurusz, król Achemenida.

Lecz dla przechodniów nic już dziś nie znaczą
te stare znaki, które tchną rozpaczą:
Jam jest Kurusz, król Achemenida.

W grobowcu swym, pod ciężką dni kopułą,
słyszycie? pęka serce, które czuło,
niegdyś Kurusz, król Achemenida.

Na mojej w ziemię rzuconej mogile
oby gdzieś, kiedyś przetrwało choć tyle:
Jam jest Kurusz, król Achemenida.

Umarli

Kiedy umarli o nas gdzieś pomyślą,
nam się od razu stęchłe szmaty przyśnią.
Palczastą myszą przemknie nam przez gardło
spłoszona ręka czegoś, co umarło.

Niezrozumiały bełkot nas zawoła
i wytrzeszczeni w okien oczodołach
staniemy w słup, tak wylupieni z łóżek,
jak z blocka martwo patrzące kałuże.

Trzęsiesz się nocą i wtem cię osłupia
własna dłoń czarna, szponiasta i trupia.
Gdy ich za domem tęsknota otoczy,
u nas na ścianach drgną zielone oczy.

Wilcza róg Marszałkowskiej

Gdzieś przyszedł? po coś przyszedł? Taka późna pora!
Zza szyby świeci zielona twarz upiora.

Tak, była tutaj, ale to dawno temu.
Nie masz co szukać. A czemu się pytasz, a czemu?

Wznosimy swe budowle strachu, my umarli.
Chodź, połazimy po gruzach. Tyś przecie też umarły.

Sypnął błyskiem zielonych białek, zakolysał twarzą:
Zaczekaj! Inni ci tego, co ja, nie pokażą.

Zastukał, niecierpliwie zastukał palcami w szybę:
Zaczekaj chwilę, zaraz do ciebie wyjdę.

Lecz ja, niepewny, czy to ktoś znajomy,
odszedłem w blachą z lekka już porastające domy.

Niebo dwubarwne

Odwieczny strach wieczorny.
Nie pastw się nad nami.
Liliowoszary ornat
zgęstniał nad ruinami.

Widzi się to daleko,
jednak nie wyżej oczu.
Pozioma ruda rzeka
przez nieba strome zbocze.

Porażki zuchwałe były.
Z wolna i niebezpiecznie
zapachnie ponad siły
pręga rozstań i nieszczęść.

Wichrząc ogniste brzegi
krzepną lila kontury.
Warto pożegnać na wieki
te miasta czy chmury.

Nieba ciężka błona
czeka na końskie kopyta.
Ale wróci, nie skona
dzień, roześmiany hoplita.

Pytanie do samego siebie

Czy złą jest rzeczą zostawianie trupów
pod nadchodzącym, strasznym słońcem kruków?

Jeśli umrzecie tam, w pustce jałowej,
zostawię, sztywnych, lecz nie zwrócę głowy.

Na smutnej drodze zmarłych nikt nie grzebie.
Ty mnie zostawisz. Ja zostawię ciebie.

Co krok, co uśmiech, z wolna w gnicie idę.
Ach, zrozum jakoś tę dziwną ohydę!

Wiele spraw kończy się zbytecznym szeptem.
My zapomnijmy się na chwilę przedtem.

Czy złą jest rzeczą zostawianie trupów
ze szklistym okiem, za piaskiem podmuchów?

Kolego, lepszy ode mnie i mędrszy,
przestańmy truć się chorobą tych wierszy.

Skąd wiesz

Skąd wiesz, może drogę kołyszą obce wojska,
skąd wiesz, nie usłyszysz, ku jakiej ciągną stronie!
Nuż komuś zawarczy na wargach cień proporca
i zbliżać się zaczniesz dla jakiejś rzeczy koniec?

Skąd wiesz, kiedy bije rozdygotane serce
maszyny, żelazne, na nie nazwanym szlaku?
I który upadnie, i czy nie krzyknie jeszcze,
z lecących wysoko nad czarną wodą ptaków?

Skąd wiesz, kto cię szuka po krętych drogach świata
i jakim rybakom upadła gwiazda w sieci?
To wiesz, to rozumiesz, że serce ci kołata
i w piersi twej własnej uderza ci naprzeciw.

To wiesz, to rozumiesz, a to jest bardzo mało.
Czas poznać wydarzeń i ludzi krok pośpieszny.
Wędrujemy gdzie indziej, tu nic już nie zostało,
wszystkiego się uczmy i wszystkim serce cieszymy.

Księżniczka na Marsie

Wyskoczył pod czarne niebo
z grzywacza z zielonym grzebieniem
i było ciemno, gdy śpiewał
z rękami wwyż modlitewnie.

Deya! planeta się toczy.
W kraju najdalszym otworzysz
swe oczy większe od nocy,
o Deyo, Deyo Thoris!

Pustka się piętrzy pod gwiazdą,
nad karkiem przestrzeń, jak jarzmo.
Lecz kładzie planety światło
czerwony półkrąg na twarz mą.

Przechodzą po książce Burroughsa
włos ciężki jak fala woni,
ściemniałe nieziemsko usta,
w planetach rzeźbiony profil.

Wyciągam pod niebo ramiona
jak Grek, wpław po ogniu, po wodzie.
Ojczyzno, Marsie czerwony!
Oczy, mierzchnące najłodziej!

Z planety nad światem krążącej,
jak ryby, mroczne akordy.
Czy spłyną z niej kiedyś twe oczy,
o Deyo, Deyo Thoris?

Księżycowe wieści

Ej, księżyc, stary druhu!
dawnośmy się nie widzieli!

Krótko cię podobno wzięli,
jak piesuja
na łańcuchu?

Coś ty zbroił?
Możesz ryby mlekiem poić?
Możesz mędrków za nos wodził?
Możesz przesadnie szłochał?
Możesz po złotych morzach
za głośno pluskał?
Możesz chińskich okrętów
w drogę nie puszczał?
A możesz ty się zakochał?

Przede wszystkim trochę ruchu!
Ej, księżyc, stary druhu!

Tutaj pauza, kochanie.
A oto drugie spotkanie.

Maszerujemy noga w nogę
czarną ulicą.
A gwiazdy się nas nie boją
i świecą.

Maszerujemy
noga w nogę,
a noc chytrze syczy za rogiem.
Ja się boję tego jak malec,
ty się nie bój.
Ale
to nie był księżyc,

tylko ptak.
I krzyknął,
i parę piór uronił
i spadł.

Wstań, spójrz za okno,
drogie dziecię,
i czytaj:
wydarzenie trzecie.

Goniłem zdyszany, biegiem.
Pędziłem brzegiem.
Czego brzegiem?
Myślisz, że wiem?
Nie wiem.

Wiatr chce mnie za krawędź
zdmuchnąć. Księżyc
złocisty żagiel pręży.
Ahoj, księżyc!

Rusza z miejsca, przepływa
mały kawałek.
Złocista fala się kiwa.
A to ci śmiałek!

Hej! hej! zakotwicz u tętniących boj!
Księżyc, ahoj!
Koniec historii o żeglarzu.
A teraz, niech cię to nie zraża,
maleńka strzelanina.
Już. Zaczynaj.

Księżyc prędko ucieka
nad dachami.
O cudzie!
Oto jesteśmy, dwaj ludzie
z karabinami.

Coś złotego
zalepiło nam rzęsy
i dlatego
wolno strzelać bez sensu.

Więc wal na oślep,
choćby w siódmą stronę!

Rrrym!
Puste niebo,
czy któraś z gwiazd,
czy samotny, niewinny przechodzień,
co trafione?

Przerwij. Odetchnij.
Pierś uwydatnij.
Wypadek piąty i ostatni.
Słuchacie? Świetnie.

Otóż, wyobraźcie sobie,
księżyc wziął mnie na jednego
i wręczył mi
dziwny kielich,
błękitnawy nieco.

No, wychylcie to,
kolego,
jeśli macie chęć.

A w kielichu,
co za lichy,
gwiazdy świecą.

A w kielichu
całkiem cicho
poprzez granatowe szkło
drzewa srebrne świecą.
Wiosna jest jak rtęć.

Opowieść zapisana w nocy

A gdyby świecy zdusić knot,
otwarłaby się w świat ulica!
Bo już mi mówił jeden kot,
że chciałby miauczeć do księżyca.

Tam, za krawędzią siną szyb,
coś pluska, wabi, nie wiem kogo,
a z niewidzialnych zbiega lip
kudłata noc pośpieszną nogą.

Z majaków lip, z nucących drzew
księżyca woń gdy buchnie ostrzej,
zaczyna dymić noc jak krew
i raz, i drugi sięga nozdrzy...

Samotną dróżką trzeba iść,
przez płot, za płoty i z powrotem!
Ciągoty nie chcą przestać gryźć.
Lecz darmo jest się w marcu kotem?

A w mieście teraz pisk i wizg
i miauk z dymników i z poddaszy!
Po niebie chodzi ciemny błysk
i rozmarzone koty straszy.

Aż w pewnej chwili fiut, szach, mach,
po gzymsach wszystko dało nurka
i bez nikogo został dach...
a koncert słyhać już z podwórka.

Przez chwilę pusto. Ale ot,
kto inny z marcem znów zaczyna!
To księżyc, niby rudy kot,
miaucząc wychodzi zza komina.

Mścimy list

Nie istniejący, chmurny Boże,
co patrzysz przez te czarne liście,
podobne liściom sag północnych,
na wszystko bliskie i dalekie
i nie wiem, jaką rzecz jak cenisz.

Potrząśnij drzewem granitowym!
Niech zakolęsze się listowie
nikomu niepotrzebnych strapień.
Ja proszę cię o liście klęski!
Daj szczęście wszystkim moim wrogom.

Ślij też od siebie fioletowy
błysk światła zgasłej już wichurze,
co mi w noc ową biła w oczy,
aż zachodziły krwią i łzami.
Powiedz jej szeptem, że ją kocham:
niech się jej przyśnią sine noce.

Powiedz wężowi różowemu,
że gdy mi swoje szybkie żądło
zapuszczał w nogę, zobaczyłem
w kroplistym dżdżu pałace z błysku.
Więc pokochałem tamtą chwilę
i ból, i węża różowego.

Szalony Boże, wściekły Boże
zazdrości godnych pędziwiatrów!
Daj szczęście wszystkim złym i podłym,
niech mają radość raz je ujrzeć,
zielone skały nefrytowe!

Stały na mrocznych firmamentach
scenerii nocnej i ponurej,
gdy opływała ciężka zieleni

w blasku obcego satelity.
Zielone skały nefrytowe!

Nie istniejący, uciesz podłych!
I tego zbaw, z którego ręki
niewinny runę w przyszłej walce.
Lecz spraw, by do skończenia świata
z otchłani piekła nie wyjrzeli
ci, co mi skradli jeden uśmiech
z warg już gotowych do wygięcia.